

***... gdzie jabłoń i grusza  
kwitną wczesną wiosną...***



### **III Wojewódzki Konkurs Literacki *Pod ojczystym niebem***

#### **Organizator**

Zespół Kształcenia Podstawowego i Gimnazjalnego nr 21 w Gdańsku  
Adriana Beger, Aleksandra Schild, Mariola Walkusz

#### **Patronat honorowy**



Prezydent Miasta Gdańska



Pomorski Kurator Oświaty

#### **Jury**

Józef Jasielski – reżyser teatralny, poeta  
Krystyna Orlicz – nauczycielka edukacji wczesnoszkolnej, polonistka  
Joanna Ryduchowska - Wrzałek - nauczycielka, animatorka pedagogiki C. Freineta

**Tomik ufundowano ze środków Urzędu Miejskiego w Gdańsku**

#### **Patronat medialny**



[www.gdansk.pl](http://www.gdansk.pl)

Na okładce zamieszczono pracę Justyny Dąbrowskiej lat 10

## Lista laureatów

### I nagroda

Magdalena Klinkosz	<i>Łąka, Kaszubska ballada</i>	kl. 5 SP 70 Gdańsk
Wiktoria Dąbrowska	<i>Zadrzała błękitna woda, Brzózka</i>	kl. 6 PSP 4 Starogard Gdański
Kamila Przyborowska	<i>Moja miłości</i>	kl. II Gim. Sportowe 46 Gdańsk
Martyna Piaskowska	<i>Błękitny Bór</i>	kl. III ZSP Sumin

### II nagroda

Mateusz Denysiuk	<i>Nadchodzi zima</i>	kl. 1 SP 2 Gdańsk
Elżbieta Gagan	<i>Droga do domu</i>	kl. 4 SP 24 Gdańsk
Marieta Domachowska	<i>Gdzie dom mój?</i>	kl. 5 ZSP Sumin
Martyna Fałtynowicz	<i>Dziecięcy świat, Dziadkowie</i>	kl. 5 SP 8 Gdańsk
Barbara Sobierajska	<i>Tkacz życia, List w butelce</i>	kl. I Gim 3 Słupsk
Maria Zielińska	<i>Pod ojczystym niebem</i>	kl. I Pub. Kat. Gim. Gdańsk

### III nagroda

Natalia Pawelska	<i>Cztery pory roku</i>	kl. 1 SP 80 Gdańsk
Elwira Spsychalska	<i>Kacper i pani Honorata</i>	kl. 6 SP 24 Gdańsk
Laura Stuba	<i>Baśka</i>	kl. 6 PSP 4 Starogard Gdański
Agata Knopik	<i>Poranek Józi</i>	kl. II ZS Lipusz
Aleksandra Winiarczyk	<i>Pod moim niebem</i>	kl. II Gim. 26 Gdańsk

### Wyróżnienie

Julia Kamysz	<i>Świetlica</i>	kl. 1 SP 2 Gdańsk
Natalia Karpieńko	<i>Jesienny dzień</i>	kl. 3 SP 2 Gdańsk
Zofia Katkowska	<i>Kot i żyrafa</i>	kl. 3 SP 81 Gdańsk
Maja Zielińska	<i>Kolorowa jesień</i>	kl. 3 SP 2 Gdańsk
Katarzyna Połomska	<i>Ula Brzydula</i>	kl. 4 SP 13 Gdynia
Magdalena Sobierajska	<i>Jeden dzień z życia kota</i>	kl. 5 SP 9 Słupsk
Piotr Banaś	<i>Szklany malarz</i>	kl. 6 SP 70 Gdańsk
Anna Bownik	<i>Zabawka jak każda</i>	kl. 6 SP 24 Gdańsk
Wioletta Kugiel	<i>Idąc ulicami</i>	kl. 6 SP 24 Gdańsk
Martyna Miłogrodzka	<i>Królestwo wyobraźni</i>	kl. 6 SP 70 Gdańsk
Karolina Grulkowska	<i>Mój tajemniczy św. Mikołaj</i>	kl. I Pub. Gim. Nowa Karczma
Dariusz Piotrowski	<i>Pod polskim niebem</i>	kl. III Gim. 26 Gdańsk

## Nagrody poezja

### Klasy 1-3

#### Nadchodzi zima

Głęboko w lesie  
śpi sobie niedźwiedź  
i śni o wiosnie.

Wiewiórka zbiera zapasy na zimę  
i wkłada do dziupli  
w sośnie.

Spadły liście na drzewach  
i ptak już nie śpiewa.  
Dawno schował się do gniazda,  
bo na nocnym niebie  
lśni polarna gwiazda.

Już nie jesień, tylko zima.  
Ach, kto pod śniegiem  
to wytrzyma?

*Mateusz Denysiuk*

#### Cztery pory roku

Wiosna- wyciągam z tatą rowery  
w ciepłe dni ruszamy na spacer  
pięknie kwitną kwiaty, śpiewają ptaki  
wśród traw znajdzie żaby i ślimaki.

Lato- najlepszy wakacji czas  
jadę do Tucholi, gdzie piękny rośnie las.  
Na wycieczki jeżdżę z siostrami  
potem bawię się z psami i kotami.

Jesień to też pora wesoła,  
bo we wrześniu zaczyna się szkoła.  
W parku zbieram kasztany i żołędzie  
duża kolekcja ludzików z nich będzie.

Zimą lepiej ze śniegu bałwana,  
zjeżdżam z górki na sankach roześmiana,  
rzucamy się śnieżkami  
z kolegami i koleżankami.

*Natalia Pawelska*

## **Klasy 4-6**

### **Gdzie dom mój?**

Gdzie dom mój?

Nie wiem...

Może tam, gdzie łąka się rozciąga,  
gdzie zielone pasma bez końca biegna,  
a ty nie wiesz, gdzie tak im się śpieszy.

Może tam, gdzie las stary,  
szeleszczący zeschniętymi liśćmi.  
Może tam, gdzie mnie nie ma...

Gdzie dom mój?

Nie wiem...

Może tam, gdzie piasek wiruje,  
a słońce pali w twarz i rumieńce wypieka...  
Może tam, gdzie z Kasprowego widok szeroki serce cieszy?

Może tam, gdzie jabłoń i grusza kwitną wiosną,  
a ich owoce smakiem zachwycają.  
Może tam, gdzie patrzą na ciebie truskawki stęsknione  
za gorącym oddechem słońca,  
gdy je jem, smakiem mnie czarują.

Gdzie dom mój?

Nie wiem...

Może tam, gdzie rodzina?  
Bez niej dom nie istnieje.

*Marieta Domachowska*

### **Zadrzała błękitna woda**

Zadrzała błękitna woda  
w starym wiadrze  
i odskoczył rozgrzany piasek  
od suchej ziemi.

Po ożywionej polanie  
ze świeżą trawą  
i wiosennymi skowronkami  
jak błyskawica  
rozległ się twardy stukot  
złotych podków  
i tylko wiatr dopomógł sosnowym gałązkom  
przywitać błękitne konie.

*Wiktoria Dąbrowska*

## **Łąka**

Łąka jest po to  
by była  
zielona  
z szaleństwem dzikich traw

Łąka jest po to  
by krowę cieszyła  
soczysta  
z dowodami jej smaku – krowimi plackami

Łąka jest po to  
by las ładniej wyglądał  
wyniosły  
nad jej płaskim anorektycznym brzuchem

Łąka jest po to  
by poeta miał natchnienie  
zwyczajny poeta  
na zielonej, soczystej, wyniosłej łące.

*Magdalena Klinkosz*

## **Dziecięcy świat**

Świat w dziecka rękach  
Jest zawsze taki prosty:  
Lalka się uśmiecha,  
A miś jest pluszowo słodki.

W pokoju dziecka  
Nie ma kłótni ni zazdrości  
Kolory łączą się tęczą  
I harmonia śmiechu gości.

A gdy czasem, rzadko  
Coś się stłucze lub zepsuje-  
Biegnie mama, tata biegnie,  
Łata, skleja, reperuje!

Bo świat dziecka to zabawa  
Pod czujnym rodzica okiem.  
Bo świat dziecka to łza mamy,  
Gdy martwi się o ciebie wieczorem.

*Martyna Fałtynowicz*

## Klasy I-III gimnazjum

### Moja miłości

#### szczęście

widzę  
jeszcze bardziej kolorowe motyle  
czuję  
silniejszą woń kwitnących kwiatów  
słyszę  
że ptaki głośniejsze śpiewają  
dotykam  
własnego uśmiechu

jestem  
zanurzona w obłokach  
ubrana w złote promyki słońca  
osłonięta ptasim puchem  
szczęśliwa

#### zima

ciepło się ubrałam  
zima  
musiała w końcu nadejść  
chcesz mnie przytulić  
ale jestem za grubo ubrana  
nie czujesz mnie  
też zakładasz kurtkę  
żeby ukryć się przed chłodem  
tak bardzo nie chciałam zimy  
nadeszła nieproszona  
teraz razem trwamy  
otuleni mrozem

*Kamila Przyborowska*

## **List w butelce**

Przyglądam się jej  
Jak sunie po policzku  
Zostawia wilgoci ślad  
I mocno słony smak.

Rozbija moje nadzieje  
Jak szklanę na podłodze  
Zabija moje złudzenie  
Jak ostre noże

Zabolało to rozstanie  
Chwyciło mocno za serce  
Co zrobić z tą miłością?  
Wrzucić jak list w butelce  
Do przepastnego morza  
Uczuć i rozczarowań?

*Barbara Sobierajska*

## **Pod moim niebem**

I oto znów jestem  
Wśród znajomych lasów i pól  
Kroczę krętymi ścieżkami  
Wydeptanymi milionami stóp  
Woń lipowej kory unosi się w rytmie oddechu  
Tańczę na wietrze nieopodal rosnących mchów  
Liście z urokiem rozpościerają skrzydła  
Kolorując świat jak w jednym z moich snów  
Z obłoków ktoś wylewa łzy  
Pobudzając do działania moje ciało znów  
Nasłuchuję leśnej ciszy  
Późno już  
Poruszam się w rytm melodii nuconej przez chór słowików  
Temu miejscu oddałam swoje serce  
Każdego dnia podążam nowymi nieznanymi szlakami  
Odkrywam wciąż magię kolejnych zaułków  
Szukam kolejnych zaczarowanych śladów i znaków  
Błogo mi  
Okrywają mnie parasole drzew  
Mija kolejna mroczna godzina  
Zbliża się nów (...)

*Aleksandra Winiarczyk*



## Nagrody proza

### Klasy 4-6

#### Droga do domu

Tego dnia, a był to wtorek, lekcja gry na pianinie z panią Emilią w jej sklepie z fortepianami na ulicy Grobla III, przebiegała jak zwykle przyjemnie, choć pracowicie. Po gamach i dwóch etiudach przyszła kolej na nowy utwór – nauczycielka grała ‚Zauroczenie’ Janiny Garści, a nutki, jak kropelki rosy, falowały w rytm crescend i wracały sennym echem. Krysia słuchała z zamkniętymi oczami, rozkoszując się ciepłem, jakie niosła ze sobą muzyka. Szła przez zielony las, pływała w lazurowej wodzie, leciała, jak ptak nad pachnącymi łąkami.

Za oknem jednak szalała śnieżycą i panowało przenikliwe zimno. Szybko zapadał zmrok. Krysia pożegnała się z nauczycielką i wtulając głowę w szal, skierowała się w stronę domu. Dziś wyjątkowo mama musiała zostać dłużej w pracy i nie mogła odebrać jej z lekcji. To nic strasznego, pomyślała dziewczynka, do domu mam tylko piętnaście minut piechotę. Mimo to poczuła lekki dreszcz, sama nie wiedziała - z zimna, czy ze strachu. Nagle jakiś ciemny kształt przemknął jej pod nogami.

-Kici, kici, malutki, co tu robisz sam na mrozie? Chodź tu do mnie – Krysia pobiegła za uciekającym stworzeniem, lecz co to, z bliska okazało się ono wielkim włochatym szcurem! Dziewczynka cofnęła się z obrzydzeniem.

-Zaraz, gdzie ja właściwie jestem?- jęknęła rozglądając się wokoło. Nie poznawała miejsca, w którym się znalazła i nie mogła dojrzeć nazwy ulicy. Wszystko spowijała gęsta mgła.

-Idę nie dłużej, niż pięć minut, pomyślała dziewczynka, więc powinnam być już na ulicy Świętego Ducha. Jeśli teraz skręcę w prawo, natrafię na Kościół Mariacki. Może wejść tam na chwilę i przeczekam mgłę. I rzeczywiście po kilku krokach wyczuła rękami chropowaty mur. Znalazła mosiężną klamkę i z całej siły popchnęła.

Wewnątrz panował półmrok. Pachniało kadzidłem i czymś jeszcze, jakby psującym się mięsem. Krysia zakryła nos rękawem i rozglądnęła się wokoło. Była tu już wiele razy, a jednak teraz nie poznawała tego miejsca. W kątach kłębiły się gromady szcurek, niektóre wpatrywały się w nią czerwonymi oczami, inne leżały bezwładnie z rozdętymi brzuchami. Idąc w głąb głównej nawy, słyszała, jak jej buty stukają o kamienną posadzkę. Teraz dobiegł ją wyraźny odgłos szepcików.

W transepcie, przed zegarem astronomicznym, zgromadził się tłum dziwnie ubranych ludzi, w większości bogatych mieszczan. Jedni mieli na sobie szkarłatne żupany, przepasane szerokim pasem, inni brunatne peleryny z kapturem, pończochy i trzewiki. Twarze niektórych były zakryte maskami w kształcie ptasich dziobów. Krysia z trudem rozumiała, o czym rozmawiają.

- To Bóg nas karze za grzechy, to on zesłał na nas dżumę! – wykrzyknął jeden z nich.

- To nie z Bogiem macie walczyć, tylko z diabłem! Ja wam to mówię, doktor Damiano! – na te słowa tłum przeżegnał się ze strachem. Niektórzy kiwali głowami ze zrozumieniem.

Krysia przyglądała się tej scenie w osłupieniu.

- Macie tylko jedno wyjście – ciągnął dalej mówca. -Trzeba uderzyć w dzwony. Tylko tak pokonacie diabła i jego mgłę, która zasłania słońce i przenosi zarazę. Razem z wielkimi dzwonami musi zabrzmieć mały dzwonek z kościoła św. Jana, a na wieżę ma go zanieść jakieś niewinne, nieskażone grzechem dziecko!

Jak na komendę wszystkie twarze obróciły się w stronę Krysi. Ta odważnie spojrzała im w oczy.

- Skoro ma to rozwiać mgłę, pomogę wam.

- Kiedy usłyszysz pierwsze takty Ave Maria, zagrane na organach, cokolwiek by się nie działo, zadzwoni tym dzwonkiem z całych sił. My w tym czasie będziemy bili w duże dzwony. Bóg z tobą, moje dziecko – rzekł doktor Damiano.

Po chwili, otoczona podekscytowanym tłumem, ze złotym dzwonkiem w rękę, znalazła się przy drzwiach prowadzących na wieżę. Zaczęła powoli wspinać się na górę, uważając, by nie spaść ze stromych schodów. Kiedy postawiła już stopy na szczycie wieży, nagle dostrzegła parę czerwonych oczu, wpatrujących się w nią złowieszczo. Sekundę później z mgły wyłonił się czerwony diabeł z czarnymi skrzydłami na plecach i trójzębem w rękę.

- Witaj, Krysiu, czekałem na ciebie. Jestem tu by spełnić twoje najskrytsze marzenie. Czyż nie wspaniale byłoby polecieć stąd w dal? Wystarczy tylko skoczyć... – kusił diabeł. Krysia chciała coś odpowiedzieć, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Czula, jak potężna moc przyciąga ją do diabła. Po chwili stała już na gzymsie wieży, gotowa do skoku. I w tej właśnie chwili usłyszała organy i przypomniała sobie, co miała zrobić.

Oba dzwony zabrzmiały równocześnie, zagłuszając wszystko dokoła. Był to wspaniały, cudowny koncert, o magicznej sile. Mgła rozwiła się natychmiast, ukazując bajecznie kolorową tęczę. Po diable nie było nawet śladu.

Krysia wracała do domu nie spiesząc się, z uśmiechem na twarzy. Jak ją opowiem o tym mamie? Przecież i tak mi nie uwierzy, że pokonałam dżumę i wypędziłam diabła z Gdańska, ze trzysta lat temu!

A może opiszę to w jakimś wypracowaniu?

*Elżbieta Gagan*

### **Kacperek i pani Honorata**

- Kacperku, wstań. Czas iść do przedszkola - mówiła mama swoim słodkim głosem, głosem anioła.

Otworzyłem oczy. Od razu poraziło mnie jasne światło, które wpadało przez duże okno. Z niechęcią wstałem. Nie lubię chodzić do przedszkola. Musimy tam siedzieć i siedzieć, a czasami mamy nawet spać. To nie jest ciekawe. Mam już pięć lat! O wiele bardziej wole chodzić na spacer i obserwować ten duży świat, który jest dookoła mnie.. Zjadłem śniadanie. Ubrałem się, prawie całkiem sam. Jestem już bardzo samodzielny. Mama bierze mnie za rękę. Zamyka drzwi. Słyszę krzyki i płacz dobiegający z sąsiedniego mieszkania. Żyją tam nasi sąsiedzi państwo Kowalscy. Często się kłócą. Mama żebym nie słyszał zatyka mi zawsze uszy. Myśli, że nie rozumiem co tam się dzieje. Jak byłem całkiem mały, tata kłócił tak się z mamą. Zamykali wtedy się w innym pokoju i krzyczeli. Ja siedziałem sobie na kanapie i oglądałem książeczki, albo oglądałem telewizję. Uważałem wtedy, że tak musi być. Było tak u sąsiadów i u mnie... Teraz tata nie mieszka z nami - już od roku. Nikt nas nie odwiedza. Czasami przyjdzie ciocia Marysia zaopiekować się mną w sobotę albo w niedzielę.

Schodzimy krętymi schodami w dół. Tak śmiesznie skrzypią, gdy idziemy. Z trudem otwieram drzwi, które prowadzą w inny świat.

Na przystanku stoi jak zwykle pełno ludzi. Każdy z nich jest inny. Jest tam pani z małym pieskiem na rękach, który najwyraźniej nie lubi być noszony, gdyż się wyrывa. Obok niej są młodzi ludzie, którzy na plecach mają olbrzymie plecaki. Są tacy wysocy, myślę że nawet mnie nie widzą. Jestem mały. (...)

Zaraz będzie nasz przystanek. Czas wysiadać. Moje serce zamiera, nie czuję dłoni mamy. Drzwi otwierają się. Mnóstwo ludzi wychodzi. Wypychają mnie na zewnątrz. Tak jak sądziłem nikt mnie nie widzi. Czy jestem niewidzialny?

Stoję na ławeczce. Teraz jestem wyższy. Wszędzie szukam mamy, a jej nigdzie nie ma. Czy to na pewno nasz przystanek? Kręcę się. Gdzie ona jest? Ludzie rozeszli się już. Jestem sam. Bez mamy. Nie ma jej. Z moich oczu spływają łzy. Naprawdę, to nigdy nie płacę! Ale teraz to co innego. Nie wiem, gdzie iść co robić? Mamo! Mamo! Wołam ciągle, ale na darmo. Nie słyszy mnie. Czy zorientowała się, że mnie nie ma. Patrzę na świat. Wydaje się całkiem inny bez niej. Obcy. Jest mi zimno. Rozglądam się i rozglądam. Teraz wiem, że na pewno to nie nasz przystanek, ale jest zima. Wszystko wygląda tak podobnie. Zaczynają pękać policzki. To od płaczu. Postanawiam więc przestać! Na moją głowę spadają płatki śniegu, zimny wiatr wieje w moje oczy. Zamykam je. Idę przez śnieg. Może tam dalej będzie mamusia? Upadam. Nie mogę już iść. Bola mnie nóżki. Jest mi zimno. Gdańsk wydaje się nagle taki obcy. Taki nie nasz. Wydaje mi się, że jestem w innym miejscu, jak nie mam mamy, wszystko jest inne. Leże tak na ziemi. Słyszę kroki...

Coś się stało? Gdzie jest twoja mama? Jesteś tu sam? - pyta starsza pani. Pachnie bardzo ładnie, jak mama, jak mój anioł.

Nie odpowiadam nic. Pani ponagla pytanie. -Jesteś tu całkiem sam?

Kiwam głową w górę i w dół. Pani pomaga mi wstać . Jej ręka jest ciepła , jak dłoń mamy . Uśmiecha się do mnie . Idziemy w milczeniu . Droga wydaje się nie mieć końca . Jesteśmy w końcu koło starego domu . Wchodzimy po schodach . Wydają podobny dźwięk , jak nasze. Pani otwiera drzwi. Wchodząc czuję miły zapach , czuję róże , karmel i czekoladę .

-Jak się nazywasz ? Ja jestem Honorata . Zgubiłeś się . Powiedz. Nie zrobię ci krzywdy. Jak odpowiesz, będę mogła odnaleźć twoją mamę .

-Jestem Kacper . Ja nie wiem gdzie jest mamusia , ona była i jej ręka , autobus . ja nic nie wiem – mówię i znów zaczynam płakać . Słone łzy wpadają do moich ust . Robią się gorzkie . Nie płacz skarbie . Coś na to poradzimy .Chcesz coś pić ? A może zjesz szarlotki?- odpowiada i idzie do pomieszczenia obok . Wraca po chwili z ciastem i filiżanką .

Dziękuję – mówię tak , jak nauczyła mnie mama .

Siedzę na starej kanapie . Jem . Rozglądam się . Nie widzę tu telewizora , są tylko półki z książkami . Są ich tu tysiące , nie wyglądają na nowe .Patrzę dalej. Na ścianach i komodach są zdjęcia . Podchodzę do jednego z nich. Fotografia przedstawia kobietę , która na rękach trzyma małe dziecko . Koło niej stoją dwie dziewczynki, a po prawej stronie stoi mały chłopczyk . Wygląda na tyle lat co ja. Ma dziwny strój, taki nie z naszych lat...

Podeszła do mnie pani Honorata. (...) . Nagle z jej oczu zaczęły kapać łzy . Poczulem się nieswojo .

- Czy coś się stało pani Honorato? Źle pani się czuje? – dopytywałem .

- Nie, malutki . Starsi ludzie czasami tak mają . Powracają wspomnienia , które boją, ale nic się nie martw .Zawsze , gdy patrzę na to zdjęcie , widzę pewną sytuację. Była wojna , oni przyszedli zabrali nas wszystkich. Płakałam z siostrami i bratem. Zabrali mamę. Staliśmy tak po środku ulicy. Wokół było pełno ludzi. Wszyscy mieli walizki , niektórzy ludzie leżeli na ulicy . Ich ciała przysypywał śnieg . Ktoś zabrał nas z ulicy. Ukrył . Nakarmił i zaopiekował się. Tak bardzo się baliśmy. (...) Okazało się, że mama trafiła do obozu , ale to zbyt trudny dla ciebie temat , wiesz , może kiedyś opowiem ci o tym , dobrze ? (...) Jak zjesz, Kacperku pójdziemy na posterunek... Znajdziemy mamę. Będzie wszystko dobrze...

Kiwam główką , bo w ustach mam ciasto.

Tuż po zjedzeniu ubieramy się. Idziemy tą samą drogą. Wchodzimy do dziwnego budynku. (...) Pani Honorata podchodzi do jednego z policjantów. Opowiada co się zdarzyło... Nagle dostrzegam mamę! Biegnę ile sił w nogach.

Mamusia ! - Pani Honorata idzie w naszą stronę . Jestem już w ramionach mamy. Teraz wszystko jest już w porządku. Wychodzimy w trójkę z budynku. Idziemy w stronę przystanku. Dziwię się , że pani też idzie...

Siedzimy teraz na ławce i czekamy . Mama mówi:

-Dziękuję pani tak bardzo , gdyby nie pani... Czy mogę się jakoś odwdzięczyć ?

-Cóż ty dziecinko możesz zrobić dla starej kobiety... Chociaż ? Jest coś. Tylko nie wiem czy to stosowne.

-Zrobię wszystko co w mojej mocy. Wszystko co pani chce.- A jednak mama ma jakąś moc , zawsze wiedziałem , że jest czarodziejką .

-Czy, czy nie byłby to problem jeśli zaopiekowałabym się czasem Kacprem ? Wiem, co sobie teraz myślisz. Obca osoba, ale ja nie mam już nikogo, nikogo! Dzieci , rodziców, rodzeństwa-nikogo... Raz na jakiś czas. Moje dni dobiegają powoli końca. Marzę o tym , aby komuś opowiadać bajki, historie, bawić się z nim. Tak bardzo tego potrzebuję. Muszę poczuć , że nie jestem sama. Że jest na tym świecie ktoś komu nie będę obojętna... Bardzo cię proszę...

-Zaskoczyła mnie pani, ale ja się zgadzam , a ty kochanie ? – zwróciła się do mnie mamusia.

-Taaak . Dokończy mi pani tę historię? Tę o pani i pani rodzinie...

-Dobrze, opowiem, ale nie teraz... Proszę to mój numer. Będę czekała na telefon. Dobranoc .

-Dobranoc! – krzyknąłem na pożegnanie, ale pani Honorata chyba mnie już nie słyszała .Odeszła powolnym krokiem. Widzę jak znika za starym budynkiem. Już jej nie ma . Rozpływa się w powietrzu...

Wsiadam z moim aniołem do autobusu. Teraz nie puszcze jej rączki za nic! Za żadne skarby świata !

Jestem już w łóżeczku . Mama opowiada mi bajkę . Dawno , dawno temu...

- Nie mamuś . Opowiedz mi o tym jak mnie szukałaś .

Mówi. Wszystko ze szczegółami. Kończy. Nie słyszę już nic, tylko ciche zamykanie drzwi i rozmowę . Dzwoni chyba do pani Honoraty. Ja już zasypiam. Moje oczka się zamykają ...

*Elwira Spychalska*

## Baśka

(...) Moja mama zawsze spędzała wakacje u swoich dziadków, czyli moich pradziadków, na wsi. Wieś urocza, cicha, zielona, schowana głęboko w Borach Tucholskich. Uwielbiała tam jeździć. Tak samo jak tę miejscowość, kochała dziadków, którzy tam mieszkali. Mój pradziadek Telesfor (prawda, że znakomite imię) miał klacz o imieniu Baśka. Miał też wiele innych zwierząt, takich jak krowy, świnię, kury, króliki. Oczywiście psa i kota też. Ale właśnie Baśka była ulubienicą pradziadka. Prababcia Klara (imię podobnie oryginalne) też ją uwielbiała. Zawsze podsuwała Basi świeżą marchewkę z ogródka lub jabłko z sadu, a ta smakowicie je chrupała.

Baśka była brązowa, czyli kasztanka. Miała pięknie błyszczącą sierść, długi, ciemniejszy ogon i grzywę na szyi oraz grzywkę. Mama wspominała, że lubiła jej zaplatać warkoczyki. Baśka wtedy wdzięcznie mrugała wielkimi, szklistymi oczyma i wdawało się, jakby się uśmiechała. Machała głową i parskała śmiesznie, a grzywka nad oczami figlarnie podskakiwała. Pradziadek bardzo dbał o nią. Cesał ją. Karmił i poił. A ona odwodziła mu się pracą, gdyż była silna i wytrwała. Pomagała w polu, ciągnęła wóz do miasta, a zimą sanie z dzwonkiem.

Razem tak spędzali całe dni. Rozumieli się bez słów. Byli jak papużki nierozłączki. Ale Baśka, niby stateczna już klacz, potrafiła też splatać figle. Pewnego razu zakochała się w sarnach i chciała tak jak one pobiegać po lesie. Tak też zrobiła. Wszyscy domownicy jej szukali, biegali wśród drzew i zarośli, a ona udawała, że nic nie słyszy i galopowała w gęstwinach. Nie można było jej złapać, więc pradziadek stwierdził, że jak zgłodnieje, to sama wróci. Tak też się stało. Późnym wieczorem Baśka zastukała swoimi kopytami przed domem, ale wróciła nie dlatego, że była głodna, bo przecież w lesie miała same smakołyki, tylko dlatego, że bardzo się stęskniła za gospodarzami. Dostała marchewkę, sianko i poszła grzecznie spać. Później jeszcze zdarzały się jej takie lub podobne wybryki, lecz wiadomo było, że wróci.

Zadaniem Baśki było też ciągnięcie drewnianego wozu, gdy pradziadek wybierał się do miasta oddalonego o jakieś 20 kilometrów. Jechali tak sobie wesoło. Baśka stukala kopytami, podskakiwała, przyglądała się światu. Mama mówiła, że dziadek pozwalał jej prowadzić konia, a on wtedy zapalał fajkę i snuł ciekawe opowieści. Aż jej zazdroszczyć tych wakacji. Mój dziadek, co prawda też dużo mówi, ale konie to ma tylko mechaniczne...

Pewnego razu, gdy pradziadek załatwił wszystkie ważne sprawy w mieście, postanowił odpocząć przed drogą powrotną. Położył się z tyłu na wozie i twardo zasnął. Baśka w tym czasie skubała trawę i widać było, że dłuży jej się bardzo. Nie wiadomo, co dokładnie przyszło jej do tego jej końskiego łba, ale w pewnym momencie ruszyła i pewnym krokiem skierowała się w kierunku ruchliwej drogi. Pradziadek nadal spał. Ludzie oglądali się za wozem i pokazywali, że koń sam jedzie. Niektórzy śmiali się, bo widzieli śpiącego z tyłu mężczyznę. Dzielna Baśka ominęła wszystkie skrzyżowania, stację kolejową i dojechała na podwórko. Jakie było zdumienie prababci, gdy zobaczyła puste siedzisko woźnicy i zadowolonego konia, który gasił już pragnienie wodą z beczki. Nie obudziła pradziadka, tylko cicho czekała. Gdy pradziadek wstał, nie rozglądał się zbyt długo, tylko jeszcze zaspany kazał Baśce już jechać do domu i wtedy prababcia wybuchnęła śmiechem, a potem to już śmiali się oboje i to bardzo długo, a Baśka spoglądała na nich i drapała kopytem zadziornie trawę. Taka była mądra. Od tego wydarzenia wiadomo było, że Baśka doskonale zna drogę do miasta i sama potrafi wrócić.

Baśka żyła długo. Miała 34 lata, gdy pradziadek zmarł. Wtedy też musiała zostać sprzedana sąsiadowi, bo już nie miał kto się nią opiekować. Trudny to był moment. Ciężkie pożegnanie. Cała rodzina płakała. Wydawało się, że Baśka też. Wszystko ma jednak swój początek i koniec. Pozostały jednak po niej wspaniałe wspomnienia. Jeszcze całkiem niedawno słuchałam opowieści od prababci.

Była to taka zwykła kasztanka, jakich wtedy można było wiele spotkać. W każdym gospodarstwie mieszkał jakiś koń. Ale ona była zwykła – niezwykła, bo nasza kochana i jedyna. Na zawsze pozostała w pamięci mych dziadków i rodziców. Zostało po niej tylko jedno zdjęcie. Żałuję tylko bardzo mocno tego, że nie miałam szansy poznać Baśki osobiście...

*Laura Stuba*

## Klasy I –III gimnazjum

### Pod ojczystym niebem

Wyobraźcie sobie postać ptaka - białej gołębiczy unoszącej się w przestworzach, machającej majestatycznie swoimi skrzydłami. Delikatne piórka na jej piersi podrygują pod wpływem podmuchów wiatru. Czuje ona niepowtarzalność każdego lotu; jest świadoma odległości, która dzieli ją od ziemi i cieszy się z szybkości, z którą pokonuje kolejne mile. Jest odprężona ,ponieważ wie, że w górze nie czyha na nią żadne niebezpieczeństwo. Jej czujne oczy utkwione są w panoramie, która przesuwa się pod jej śnieżnobiałym brzuszkiem.

Gołębica zatacza koło i obniża lot. Znajduje się teraz nad miastem, rzucając cień na jego aleje i budynki. Lawiruje między antenami satelitarnymi i kominami fabryk. Z zaciekawieniem spogląda na jadące ulicą pojazdy. Stożące wianuszkami kolorowe karoserie aut kojarzą jej się z apetycznymi owadami. Mimo tego dochodzące zewsząd dźwięki odstrasza ją i każą lecieć dalej, ku rzędom jednorodzinnych domków z dominacją drewna i piaskowca.

Tu ptak znajduje rozłożyste drzewo, którego gałęzie są doskonałą ostoją. Nie tylko on jednak znajduje tu wytchnienie. Na ustawionej pod koroną rośliny ławce siedzi młoda matka zmęczona spacerem. Kobieta delikatnie kołysze wózek w przód i w tył, wprawiając śpiącego w jego wnętrzu malca w niemal hipnotyczny stan. Nachyla się bliżej, aby sprawdzić czy jej próby odniosły zamierzony efekt. Z miłością uśmiecha się, widząc równomiernie unoszącą się pierś swojego dziecka. Po raz kolejny przygląda się jego błogiej twarzyczce i wydatnym policzkom. Z czułością gładzi jego małe, zaciśnięte na rąbku błękitnej kołderki paluszki. Po kilku minutach wstaje i prowadzi wózek w kierunku mieszkania. Ptaka odprowadza dźwięk cichutko nuconej kołysanki.

Gołębica wzbija się wysoko ponad wierzchołki drzew. Z góry obserwuje ich gałęzie obsypane brązowymi i żółtymi liśćmi. Cały park tonie w ciepłych odcieniach rdzy i ochry. Drzewa uginają się pod ciężarem różnorodnych barw, które cieszą oczy przechodniów. Ptaszyna wiruje razem z jesiennymi liśćmi, które furkoczą na wietrze niesione jego powiewami. Z bliska może dostrzec misterne wzory na każdym z nich, które małym pędzelkiem utworzyła ta uwielbiana przez wszystkich artystów pora roku.

Parkowe alejki aż roją się od dzieci oraz ich opiekunów. Nietrudno wypatrzeć rumiane buzie malców, którzy z zapalem szukają kasztanów. Wiązane z wielką rodzicielską starannością szaliki teraz ciągną się za pociechami, postrzegane jako przeszkoda w grach i zabawach. Ocieplane buciki i wełniane rękawiczki migają między pniami drzew, próbując dogonić małego języka. Olbrzymie zainteresowanie wzbudzają też zagrabione stopy suchych liści, w których można się fenomenalnie tarzać.

W sercu parku znajduje się plac zabaw, który zawsze jest miejscem pełnym życia. Przetrwac tu może tylko ten, kto nauczy się jego praw i trzyma się z dala od wojowniczych babć, które potrafią bronić swoich wnusiąt własną parasolką. W porannej porze można zobaczyć tu kończyny znikające w otchłaniach zjeżdżalni i usłyszeć rozpaczliwe wrzaski nieszczęśliwych uwieczonych na karuzeli, ku uciesze kolegów stojących obok.

Gołębica siada na grządce i wybiera leżące na ziemi nasiona. Wokół panuje radosny gwar wesolej ciżby oraz dominujący zwrot: Ja się tak nie bawię! Niedaleko znajdują się dwie dziewczynki, w podskokach przemierzające chodnik. Siostry w skupieniu spoglądają na czubki swoich buczków, unikając stąpania po rowkach między płytami. Kilka kroków dalej blondynek o niebieskich oczach ofiarowuje swojej rówieśniczce bukiet jesiennych liści. Obdarowana składa na jego policzku wilgotny pocałunek, ukazując dwa śliczne dołeczki. Po drugiej stronie placu dokazują :ojciec oraz jego dwaj synowie. Pełen energii dalmatyńczyk z zapalem zwraca posyланą przez nich w niebo piłkę. Ten sielski obrazek aż emanuje spokojem. Jednak gołębica nie może zostać dłużej, gdyż siedząca w pobliżu wiewiórka posyła jej jednoznaczne spojrzenie.

Nasza podniebna przewodniczka rozwija skrzydła i kontynuuje swój lot. Za kilka minut w jej polu widzenia pojawia się szary budynek o prostokątnej bryle. Gołębica siada na chybottliwym karmniku wykonanym ręką dziecka i przygląda się klasie przez okno. Uczniowie siedzą w podwójnych ławkach. Nauczyciel zabiera się do zapisania wzoru na tablicy, nieświadomy, że na miejscu kredy znajdzie biały ser. Za jego plecami nie brak chichotania, przepychanek , żartów. Sypiące się zewsząd papierowe kulki podważają

autentyczność jesiennej aury za oknem. Ptak obserwuje wszystkich gimnazjalnych uczniów, odgadując ich przyszłe zawody. Dwie przyjaciółki bez skrupowania przeglądają na ławce stroje z młodzieżowego magazynu. Zapewne łączą swoją przyszłość ze światem mody. Wysoki młodzieniec w ostatniej ławce zapełnia marginesy zeszytu od polskiego różnorakimi bazgrołami. Nie ma wątpliwości, że odnajdzie się jako artysta. Przyszły listonosz przechyla się na krzesło, próbując dostarczyć zaadresowaną do koleżanki wiadomość. Tylko dziewczyna o błędnym spojrzeniu nie zajmuje się niczym konkretnym, owijając wokół palca swoje złote loki. Patrzy na przesuwające się po niebie chmury, sprawiając wrażenie oderwanej od rzeczywistości.

Ja, jak zarówno resztę szkoły, od przemyśleń odrywa namolny dźwięk dzwonka, który dla uczniów w ciężkich chwilach potrafi być prawdziwym ratunkiem. Gimnazjaliści wysypują się na korytarz, ciesząc się tymi piętnastoma minutami wolności. Nauczyciele pospiesznie kierują się ku pokojowi nauczycielskiemu, planując pofolgować sobie kolejnym kubkiem kawy. Kumple przybijają piątki i udają się na boisko; nieprzygotowani nieszczęśnicy nerwowo poprawiają prace domowe lub powtarzają materiał z poprzedniej lekcji. Przyjaciółki zbierają się w grupki, aby podzielić się nowinkami z resztą paczki. Zrezygnowani zapominalscy uderzają pięściami w drzwi szafek, nie mogąc przypomnieć sobie odpowiedniego kodu. Nad tym pozornym rozgardiaszem pieczę sprawuje pełniący dyżur wuefista, który z lubością ścisną w dłoni plastikowy gwizdek.

W stronę gołębicy szybuje kawał pszennej bułki z serem. Ptak łapie dziobem tę zdobycz, a następnie oddala się z obawy przed krążącymi wokół drapieżnymi wronami. Z wielkim kawałkiem pieczywa kieruje się ku starej dzielnicy. Chwilę później wlatuje do małego zagłębienia w jednej ze ścian budynków. Łąduje na stercie luźno ułożonych gałązek. Obserwuje dwa białe jaja, przekrzywiając lekko łebek. Ich powierzchnia wydaje się mieć zielonkawą połysk. Ptasia mama szuka oznak jakiegokolwiek niebezpieczeństwa. Gdy nie wyczuwa niczego podejrzanego, usadawia się we wgłębieniu obok jajek. Choć posiada ona tylko ptasi mózdzek, w jej głowie pojawia się wizja gołębich piskląt jako samodzielnych, dorosłych ptaków. Potrzeba będzie na to dużo czasu i wysiłku. Lecz rodzice uczynią wszystko, aby ich dzieci miały szczęśliwe dzieciństwo i czuły się spełnione. Aby dorastały tam, gdzie niczego im nie brakuje. Pod Ojczystym niebem.

*Maria Zielińska*

## **Poranek Józia**

Gdyby ktoś, kto szedł wtedy ulicą, spojrzął w niebo, ujrzałby przepiękny widok. Prezentowały się tam dumnie przeróżne odcienie niebieskiego, gdzieniegdzie poprzeplatane niesfornymi, żółtymi promykami, które powysuwały się z grubych warkoczy słońca. Świat bliżej ziemi wyglądał równie wspaniale. Krótko przystrzyżone trawniki zwykle wstydziły się okaleczenia, jakie zadał im człowiek. Jednak tego ranka szron pokrył je tak obficie, że wyglądały dużo mniej nienaturalnie i sztywno niż przeważnie. Podejrzewam, iż mniej wymagający obserwator uznałby je nawet za ładne. Stare, zmurszałe drzewa, rosnące w parku, snuły długie opowieści o czasach swej młodości, trzepocząc przy tym, co jakiś czas, delikatnie jasnozielonymi, świeżymi liśćmi. Młode sosny śpiewały wraz ze swymi rówieśnicami, smukłymi brzoźkami, wesołe piosenki i tańczyły z wiatrem. Jednak gdyby zaproponowano tamtego dnia któremuś z przechodniów, by uważnie rozejrzał się dookoła, popukałby się znacząco w czoło lub z wyższością rzucił okiem na zegarek, tylko po to, by stwierdzić, że jest 7.20 i śpieszy się do pracy. Na tej ulicy była tylko jedna osoba zdolna do zachwytów nad nieskończonej hojną naturą i bynajmniej ich nie szczędziła. Podążała do szkoły, co tylko nieznacznie ostudziło jej zachwyt. (...)

Osoba ta była uczennicą gimnazjum i miała na imię Józia. Z obu faktów nie była zadowolona. Uważała, że jej imię jest bardzo staroświeckie i wolałaby mieć mniej tuzinkowe. Sądziła, iż gdyby nazywano ją Julią, Różą czy Vanessą, jej życie wyglądałoby zupełnie inaczej. Z pewnością byłoby bardziej romantyczne i mniej pospolite. (...)

Poczuła, jak lekki, orzeźwiający wiatr, próbując dodać otuchy, delikatnie wsunął się w jej włosy. Uśmiechnęła się do niego przelotnie, bo jej uwagę zdążyło już zaabsorbować coś innego. Zauważyła gromadkę rozśpiewanych i rozwrzeszczanych wróbli. Rozsierdziło to nieco wiatr. Chuchnął jej niby pobłaźliwie, ale jednak stanowczo w twarz. Nie przejęła się tym. Po krótkim czasie, znudzony nieudanymi próbami zwrócenia na siebie uwagi, zajął się dmuchaniem w młode liście brzoź. One, mimo że z trudem utrzymywały równowagę, radosnym szumem dawały znać, co myślą o jego wysiłkach. Podrygiwały z uciechą, niczym w jakimś tańcu, po czym zaczęły śpiewać w swym, nie potrafiącym nazwać zła, języku, pieśni przekazywane z niewielkimi tylko zmianami, od pokoleń. Gdy liściową muzykę usłyszały spróchniałe, porośnięte białym i żółtawo-zielonym mchem sztachety, zaskrzyphiały radośnie.(...)

Józia spojrzała w niebo i zobaczyła zniżającego lot żurawia, który po chwili wylądował na żółkniętej po zimie łące. Nad nią, niczym pęknięty balon z miętowej gumy do żucia, unosiła się mgła, prawie całkowicie kryjąca ptaka. Tylko czerwona plama pośrodku jego głowy rzucała się w oczy, niczym owoce jarzębiny na szaroburym tle rozspanych gałęzi w jesienny poranek. Józia spojrzała na wierzbę szumiącą melodyjnie o tym, jaki los spotyka wszystkich. (...)Józia zastanawiała się przez chwilę, jak to możliwe, że ludzie, chodząc chodnikiem, nie zwracają uwagi na wierzbę, która przecież zachowuje się bardzo głośno. Jednakże jej myśli szybko odbiegły od tego tematu, bo zauważyła dwa małe ptaki, usiłujące wyrwać sobie nawzajem skórkę od chleba, ćwierkając przy tym gderliwie, jak gdyby to, który z nich będzie miał pełny żołądek, było najważniejszą sprawą na świecie. Zupełnie ją zignorowały, gdy przechodziła, chociaż zazwyczaj w takich sytuacjach odfrunęłyby, co sił w skrzydłach. (...)

Z rozmyślań wyrwał ją widok małego psa, przytłoczonego głodem i zmęczeniem do tego stopnia, że nawet na nią nie naszczekał, tylko wrogo uniósł mizerny, poszarpany ogon. Oddała mu swoją kanapkę. Wdzięczny pies towarzyszył jej, mimo iż jedna kanapka z pewnością nie nasyciła jego biednego żołądka. Zatrzymali się przed schodami prowadzącymi do szkoły(...)Józia, pogłaskawszy psa, westchnęła i weszła.

*Agata Knopik*

## **Błękitny Bór**

Błękitny Bór wcale nie brzmiał tak jak zwykle. W sumie, to w ogóle nie brzmiał. Nie słyszałam trzepotu wrózek w koronach drzew ani skrzekliwych kłótni elfów. Centaury nie grzebały kopytami w ziemi, gryfy nie karmiły swojego popiskującego potomstwa... Mój mózg mechanicznie przypomniał mi, że pisklaki potrzebują pokarmu co 3 - 4 godziny - bez tego ich małe ciała nie byłyby w stanie dostatecznie długo produkować energii. Są jak małe czarne dziury. Pochłaniają wszystko. Dżdżownice znikają w ich małych dziobkach niczym nitki makaronu wciągane przez trąbę powietrzna.

Może pisklaki poumieraly z głodu porzucone przez uciekających rodziców? Czyżby właśnie teraz konały, widząc przed sobą jedynie błękitne liście? Ciekawe, czy odczuję ostateczną zagładę tak, jak czują to owady zjadane przez malutkie gryfy? Nagle rozwarta oślizgła dziura, w którą wpadnę? Moja wyobraźnia wyprodukowała przerażającą wizję. Zadrżałam. Nie chciałam pogodzić się z tym, co miało nadejść.

Siedziałam na skraju Boru i machałam nogami jak mała dziewczynka. Korzenie laskotały moje odsłonięte łydki i podbicie bosych stóp. Wokół siebie widziałam lazurową trawę falującą niczym glony poruszane przyplływem, a za sobą wyczuwałam chropowatą korę drzewa, o które się opierałam.

Wiedziałam, że dalej, na tej lewitującej platformie ziemi rośnie Błękitny Bór. Wiedziałam, że tę warstwę ziemi przebijają granatowe korzenie, które dostojnie bujają się na wietrze, zwisając jeszcze dobre kilkadziesiąt metrów nad prawdziwym podłożem. Doskonale też zdawałam sobie sprawę z tego, że taka lewitująca bez żadnego podparcia płachta żyznej ziemi porośnięta niebieskimi roślinami po prostu nie ma prawa istnieć. Nie i koniec. Ale istniała. Byłam tutaj, czułam miękkość trawy, ciepły wietrzyk na twarzy...

Pamiętałam niektóre dni, gdy budziłam się w świecie istniejącym pod moim borem. Otwierałam oczy i widziałam kolorowe ściany, jakieś jaskrawe zabawki. Nie czułam zapachu lasu. Leżałam jak sparaliżowana, bojąc się zwrócić na siebie uwagę kogokolwiek w tym dziwnym miejscu. Po chwili pojawiała się kobieta. Wyglądała na zmartwioną i smutną, ale się uśmiechała. Łagodnym głosem kazała mi wstać. Razem z kobietą jadłam śniadanie. Potem ćwiczyłyśmy. Kazała mi układać jakieś klocki, piteczki... nie widziałam w tym głębszego sensu. Nie wykonywałam poleceń, zachowywałam nieprzeniknioną minę, tak jak uczył mnie elf Ksyl. On zawsze powtarzał mi, że nie wolno pokazywać wrogowi swoich prawdziwych emocji. W sumie, smutna kobieta nie wyglądała na wroga. Tuliła mnie do siebie, często płacząc. Ale pozostawałam nieporuszona.

Szczęśliwa i swobodna czułam się jedynie w moim borze, który wkrótce miał przestać istnieć. Wiedziałam to, czułam pod skórą. Ostrzegłam wszystkich przyjaciół, a oni po prostu puciekali. Stałam i patrzyłam, jak gryfy odlatują w chmury, nieraz całe oblepione drobnymi ciałkami wrózek zbyt leniwymi, żeby zrobić użytek ze swoich własnych skrzydełek. Centaury, gnomy, elfy i wszystkie inne istoty niepotrafiące fruwać po prostu zeskakowały ze skrajów boru, po czym niczym piórka na wietrze opadały w dół.

Czułam łzy na policzkach, ale nikogo nie zatrzymywałam. Kochałam ich i nie chciałam, żeby zginęli, chociaż doskonale wiedziałam, że gdziekolwiek by się nie schronili, i tak nie przeżyją końca.

Gdy nie było już nikogo, po prostu usiadłam i tak zostałam. Czekałam na koniec, a on przyszedł po mnie. Usłyszałam za sobą skrzypienie wszystkich drzew rosnących w borze. Brzmiało to jak zbiorowy jęk bólu. Nie odwróciłam się, chociaż usłyszałam serię huków. Wiedziałam instynktownie, że to padające drzewa wybijają dziury w ziemi, po czym spadają w dół. Uniosłam głowę i spojrzałam na zabarwione zachodem słońca niebo. Krwiste niebo pod moją umierającą ojczyzną... Ostatnią rzeczą, jaką poczułam, było potężne uderzenie w brzuch i uda. Poleciałam zmięta niczym marionetka. Szybko zapadłam się w niebyt.

#### Samobójstwo autystycznej dziewczyny?

Dnia 5 lutego 2012 roku w godzinach wieczornych doszło do wypadku, w skutku którego zmarła dziewczyna chora na autyzm. Naoczni świadkowie mówią, że lekko ubrana 15-latką szybkim krokiem, nie reagując na ostrzeżenia, weszła na ruchliwą autostradę i stanęła z nienaturalnie spokojną twarzą do nadjeżdżającego auta osobowego. Kierowca nie zdążył wyhamować.

Sprawę bada policja.

*Martyna Piaskowska*



## Wyróżnienia poezja

### Kot i żyrafa

Była sobie żyrafa  
Co była gruba jak szafa  
Był sobie kot  
Który skakał przez płot

I ten kot który skakał przez płot  
I ta żyrafa co była gruba jak szafa  
To nierozłączni przyjaciele  
Co spotykają się w niedziele

A gdy już spotkają się w niedziele  
Ci nierozłączni przyjaciele  
Chodzą na pączki i herbatkę  
Do teatru i na prywatkę

Na piknik wybrali się kiedyś  
Szli długo przez leśne knieje  
Kosz nieśli pełen smakołyków  
I wszelkich rarytasików

Jadła i jadła ciągle żyrafa  
Stała się nawet grubsza niż szafa  
A wy kochani - przestańcie jeść  
Będziecie mniej ciężaru nieść

*Zofia Katkowska*

### W świetlicy

Pani Ola ze świetlicy  
wypożyczyła książkę z zagadkami  
i czytała ją wszystkim dzieciom,  
a one grzecznie odpowiadały.

Zagadki były o zwierzętach;  
zebrach, słoniach i kociętach.

Dziewczynkom się spodobały  
zagadki o koniach,  
a chłopakom rozrabiakom  
najbardziej o słoniach.

Potem był konkurs na rysunek  
i każdy zaraz wymyślił malunek.  
Dzieci dostały dyplomy i  
upominki,  
więc miały bardzo wesołe minki.

*Julia Kamysz*

## **Jesienny dzień**

Las już poczerwieniał.  
Deszcz leje i leje,  
już się nie śmieje.

Jesień wylewa deszcze,  
Są duże kałuże i rowy pełne błota.  
Chyba taka musi być pogoda.

Lecą liście płonące  
z brzozy, klonu i jaworu.  
Mogą zmienić tę porę roku.

Humor sobie poprawię,  
i pójdę nad gdańską Motławę.  
Będę patrzeć na tę jesień  
w ten piękny wrzesień. (...)

Patrzę na jesień malowaną.  
Patrzę na nią długo, długo...  
Deszcz leje i wiatr wieje!

Zmykam wtedy szybciotko!  
No i tak uciekam,  
a deszcz leje jak z cebra.

A w domu patrzę przez okno,  
deszcz leje i leje,  
a ja właśnie się śmieję.

*Natalia Karpienko*

## **Kolorowa jesień**

Do lasu, do parku  
i do ogrodu  
przyszła z daleka  
kolorowa i radosna jesień

Idzie lasem.  
Tu żółędzie,  
tu złociste szumią drzewa,  
a tu jesień  
się naśmiewa.

A na brzoźkach  
piękne serduszka  
kolorowe i złoczone,  
mocno zawstydzone.

*Maja Zielińska*

## **Szklany malarz**

Pod szklaną powłoką  
sztuczne światło sztuczne życie daje  
Muśnięcie pędzla niszczy góry,  
życiem obdarowuje  
Paleta światu blademu kolorów dodaje  
Płótno puste, martwe, życiem zakwitnie  
gdy pędzel w dłoni  
stworzy dzieło sztuki  
(...)

Na brązowym blacie  
stoi słoneczny posłaniec (...)  
Portret oczami wpatruje się w odległą dal  
smutek na twarzy uwieczniony sztuką  
nie przebłyśnie uśmiechem

Nie istnieje lekarstwo dla sztuki  
dlatego teraz nic nie ma na płótnie  
a przygnębiony mistrz pędzla sypie konfetti  
do morskiego więzienia

Wynosi szklane pudełko,  
na świat wypuszcza niebieskie smugi  
I mówi „Ostatni raz”  
Pędzel w ruch  
(...)

Zatoka, statki, niebo i jasność  
to pejzaż na ostatnim dziele sztuki  
Mistrz dalej będzie nadawał pędzlowi swoją wolę  
Lecz nie będzie nadawał obrazom nazw  
nad ich wartość

*Piotr Banaś*

## **Pod polskim niebem**

Pod polskim niebem cyrk się znów rozkłada,  
Z kolorowych, pięknych wozów, wysypuje się gromada.  
Przepychają się, tratują, tańcząc w rajstopach,  
Podają sobie ręce, depcząc po stopach.  
Gimnastyków pajęczych preży się plejada,  
Iluzjonistów, magików, sztuczkarzy parada.  
I klaun przybył, prawiać o poetach,  
I szef uśmiechnięty na myśl o monetach.

Cyrk całkiem nowy, całkiem nowe show,  
Całą okolicę na pokaz dziś ściagnął.  
I choć z początku wszyscy byli podnieceni,  
Po wszystkim patrzą tylko do kieszeni,  
Zastanawiając się, na co poszły ich pieniądze,  
Które teraz zaspokoją czyjeś żądze.  
Tę część spektaklu ludzie szumnie zwa  
Częścią Wstępnie Rozczarowującą .  
Tygrys zjadł swojego tresera,  
Choroba dopadła żonglera,  
Połykacze ognia zjadali zapalki,  
A słoń z ulotki był wielkości antałki.

Najgorsze, że po paru takich zdarzeniach,  
Ludzie wciąż wolą trwać w swoich cierpieniach  
I pławić w iluzji, w tych tęczach z rękawa,  
Wciąż nęci ich ta żalosna zabawa.  
Ludzki rozsądek i rozum kuleją.  
Dzisiaj opera jest tylko nadzieją.  
Jednak ja wierzę, że gdy śpiewak się zbudzi,  
To znajdzie orkiestrę z dyrygentem wśród ludzi ,  
Który machnięciem swej magicznej batuty,  
Sprawi, że wszystkie znów zgrają się nuty  
I rozpoczną się dla Polski świetności lata,  
Które zakończyć będzie mógł tylko koniec świata.

Za cztery lata znów nadzieja błysnie,  
Jednak czy jak bańka znowu nie pryśnie?  
Tego nie wiedzą nawet tam w niebie,  
Ale zależy to także od ...

*Dariusz Piotrowski*

## Wyróżnienia proza

### Ula Brzydula

Mam na imię Justyna. Chodzę do niedużej szkoły, do klasy IV b. Chcę Was drodzy czytelnicy przestrzec przed ocenianiem ludzi według wyglądu, więc opowiem Wam, co się wydarzyło rok temu.

Podczas rozpoczęcia roku szkolnego, jak zwykle staliśmy przed szkołą i czekaliśmy na naszą wychowawczynię. Pod koniec poprzedniego roku, pani poinformowała nas, że raczej żaden uczeń nie dojdzie do naszej klasy. A tu niespodzianka! Nasza pani szła z jakąś nieznaną dziewczynką. Miała rude włosy, okrągłe okulary, na jej nosie widniały piegi, a w dodatku miała za krótkie rękawy bluzki i krzywo przyszyty kwiatek na spódnicy. Nagle Kuba szepnął :

- Patrzcie, Ula Brzydula! - I cała klasa ryknęła śmiechem. Chciałam podejść do Nowej, ale strach przed ośmieszeniem powstrzymał mnie od tego.

Przez pierwsze dni Ewa, bo tak nowa koleżanka miała na imię, na przerwach stała sama w kącie. Była smutna i opuszczona. Wszyscy się z niej śmiali i omijali ją z daleka. Było mi jej żal, ale bałam się, że gdy podejść do niej, ze mnie również klasa będzie kpić. W głębi serca czułam, że źle robię. Postanowiłam w końcu o wszystkim powiedzieć mamie.

- Dzieci źle postępują wobec Ewy - powiedziała mama poważnym tonem. - Trzeba umieć przeciwstawiać się grupie w takich sytuacjach - kontynuowała.

Pewnego dnia Ewa jak zwykle sama wracała ze szkoły. Marek i Jarek zaczęli jej dokuczać. W pewnym momencie Marek celowo popchnął Jarka tak, by wpadł na dziewczynkę.

- O, sorry panno Brzydulo - kpił Jarek. Nie zauważył nawet, że okulary Ewy leżą potłuczone na chodniku. Bez nich Ewa czuła się niepewnie, jakby bardzo słabo widziała. Przemogłam swój strach i podeszłam do niej. Koledzy popatrzyli ze zdziwieniem. Odprowadziłam Ewę do domu. Otworzyła nam jej babcia i zaprosiła do środka. Gdy siedziałyśmy przy podwieczorku do pokoju powoli weszła mama Ewy prowadzona przez babcie.

- Moja mama jest niewidoma- cicho wytłumaczyła Ewa.

- Dzień dobry dziewczynki - przywitała nas. - Cieszę się, że pomimo tego smutnego wydarzenia mogliście się bliżej poznać.

Następnego dnia w szkole zamiast powitania usłyszałam kpiny koleżanek z Różą na czele:

- Co, byłaś wczoraj u tej pokraki?

Wtedy opowiedziałam im o sytuacji Ewy. Zawstydzone dziewczyny odeszły szepcząc coś między sobą. Dzień później na godzinie wychowawczej Róża, Marek i Jarek podeszli do pani i coś jej cicho tłumaczyli, po czym pani ogłosiła - Wasi koledzy chcą powiedzieć coś ważnego.

- Chcielibyśmy przeprosić Ul... Ewę za przezywanie - zaczęła Róża.

- I za to, co jej zrobiliśmy. My nie wiedzieliśmy... Złożymy się na nowe okulary - dodali Marek i Jarek.

- Każdy ma prawo popełniać błędy, ale ważne, by umieć naprawić wyrządzoną krzywdę - podsumowała pani.

- Ewa, odprowadzimy cię dzisiaj wszyscy, dobrze? - zaproponowała Monika

Na twarzy Ewy po raz pierwszy zobaczyliśmy uśmiech.

Poczułam wielką ulgę. Było mi też wstyd, że tak długo bałam się narazić innym. Wszyscy się baliśmy tej nowej przyjaźni.

Dzisiaj Ewa jest bardzo lubiana w klasie. Jak myślicie - czy dlatego, że wyładniała?..

*Katarzyna Połomska*

## Jeden dzień z życia kota

Obudziłem się kiedy cały dom pogrążony był jeszcze we śnie. Wyprostowałem grzbiet, wyciągnąłem jedną łapę – wszystkie pazury na miejscu, druga łapę – też są. Spojrzałem w prawo, spojrzałem w lewo – nikt się nie rusza. Zobacze, co na świecie. Wskoczyłem na parapet i z ciekawością popatrzyłem przez okno.

Księżyc jeszcze wysoko błyszczał na niebie, gwiazdy jasno świeciły. Na ulicy, której nie lubię, powoli zaczynali pojawiać się ludzie. Niektórzy szybko przemykali, a niektórzy wsiadali do tych kopcących maszyn, które nazywają samochodami. Nawet czasami je lubię, szczególnie wtedy, gdy wyciągam się na nich by ogrzać swoje futerko.

Zeskoczyłem z fotela i szybko pobiegłem do łazienki. Tam stoją moje miseczki. Pamiętam, że wczoraj moja pani włożyła mi do nich dużo pachnącego jedzonka. A cóż to? Miski prawie puste! Czyżby ktoś powyjadał to, co należy do mnie? Zaraz, zaraz. No tak, zapomniałem, że wstawałem w nocy, burczący pusty brzusek mnie obudził. Zjem to, co zostało, chociaż nie jest tego wiele.

Ileż oni mogą spać? Zobacze, może ktoś już się obudził. Niestety, wszyscy w objęciach Morfeusza. O, jaki piękny kasztan i jak doskonale kula się po podłodze.

- Panek, psik! – gdzieś spod koldry usłyszałem i mała poduszka wylądowała blisko mojej głowy. No dobrze, spróbuję inaczej.

W drugim pokoju na łóżku leży moja pani. Spróbuję ją obudzić, w końcu zawsze mówi, że tak pięknie mruczę.

- Miau, miauuuuu!. – przeraźliwie dają znać, że czas już otworzyć oczy. Nareszcie wstała moja pani i udała się w kierunku lodówki. Jakie zapachy z niej płyną. Próbuję zobaczyć, co leży na półce, przeciskam się między nogami i opieram łapami o drzwiczki. Na obiad – schabowe. Mniemam, może uda mi się uszczknąć coś dla siebie. Tak pięknie pachną wędlinki i boczuś wędzony. Rarytasy. No tak, a dla mnie tylko puszczenia, świeżutka, ale tylko puszczenia.

Zjadłem z apetytem i ułożyłem się na miękkim dywanie. Chyba przysnąłem. Obudziłem się, gdy wszyscy domownicy byli już na nogach. Kręcili się w kółko i nikt mnie nie zauważał, no, przynajmniej jeden o mało co się nie przewrócił potykając o mnie. Takie kocie prawo.

Trzaśnięcie drzwiami uświadomiło mi, że znowu zostałem sam. Muszę pilnować domu, tylko takie ciężkie mam powieki. Przymknę tylko jedno oko, słowo daję. Obudziłem się, jak zadzwieczał klucz w zamku. Szybciutko podbiegłem pod drzwi, niech wiedzą, że pilnowałem całego domu. Na progu upomniałem się o należne mi głaski. A potem wskoczyłem na pierwsze wolne kolana. Pani delikatnie podrapała mnie za uszkiem. Jakie to przyjemne!

Dom ożył na nowo, kiedy wszyscy wrócili do domu. Dziewczyny znowu mnie nosiły, drapały i próbowały bawić się myszkami. A mnie już się nie chce ganiać, w końcu wiem, że wcale nie są takie dobre, na jakie wyglądają. Przez jedenaście lat rozprawilem się z kilkunastoma takimi szarakami.

No i miski znowu puste, teren polowań, czyli kuchnia też (w końcu załapałem się na tego schabowego). Czyżby zapomnieli o mnie? No tak, znowu przypomniało im się, że warto by mnie odchudzać. A co im przeszkadza moja nadwaga? W końcu to ja ją noszę na swoich łapach. Pomiauczę trochę, może ulegną.

Poskutkowało. Mogę więc spokojnie, z pełnym brzuszkiem, wtulić się w kolana, mrużyć i śnić o pełnych miseczkach. W końcu i oni położą się do ciepłych łóżek. Popilnuję ich spokojnych oddechów i zasną spokojny i bezpieczny na swoim foteliku. W końcu po tak pracowitym dniu i mnie należy się chwila odpoczynku.

*Magdalena Sobierajska*

## Zabawka jak każda

Byłem misiem jak każdy. Nie wyróżniałem się - miałem taką samą błyszczącą sierść i tak samo czarne guziki na pyszczku. Może odcień czerwieni mojej muszki mnie odróżniał. Wszyscy wyglądaliśmy identycznie. Leżeliśmy nieruchomo na półce sklepowej martwo patrząc na klientów, którzy hałasowali szurając, tupiąc i stukając obcasami oraz jeżdżąc wózkami przepełnionymi zakupami. Każdy z nas chciał się znaleźć na takim stosie soków, serów, jogurtów wędrującym ku kasie.

Pewnego razu, gdy przyglądałem się ludziom bez zastanowienia wrzucającym produkty do koszyka, ktoś podszedł do półki. Oglądał nas swoimi strasznymi oczami, jakby miał w nich rentgen i mógł nas w każdej chwili przewiercić wzrokiem. Czulem jak się kurczę. Nagle wyciągnął swoją zimną, kościstą dłoń i chwycił mnie za moją krótką szyję ściskając ją z całej siły. Po chwili wylądowałem na dnie wózka sklepowego. Nieznajomy biegał z tym pojazdem po całym supermarkecie i co chwila wrzucał nowe produkty, więc kiedy znalazłem się przy kasie, byłem przygnieciony zakupami.(...)

W bagażniku było bardzo ciemno. Czulem się niczym w trumnie, jedyna różnica taka, że w grobie najmniejszego hałasu nie ma, ani nie śmierdzi tak bardzo. Tu, gdzie się znajdowałem, unosił się odór płynu do szyb i, o zgrozo, benzyny. Rzucano mną na wszystkie strony, miałem ochotę zwymiotować, gdybym tylko potrafił. Nagle, ta maszyna strachu zatrzymała się. Odetchnąłem. Po chwili nieznajomy otworzył bagażnik. Światło z zewnątrz oślepiło mnie na parę sekund. Te same kościste dłonie chwyciły torby z zakupami i energicznie wyciągnęły je z auta.(...) Mężczyzna mamrocząc coś pod nosem (...)wziął mnie do swojego pokoju. Było tam zimno i wilgotno, a całe pomieszczenie sprawiało wrażenie jakiejś nory. Nieznajomy położył mnie na biurku i począł szukać czegoś po szafkach. Wyjął kolorowy karton w kwiatki, który wcale nie wydawał mi się wesoły. Mężczyzna wpakował mnie tam i nasunął wieko.

Tym razem przestraszyłem się na dobre. Ciemność przerażała bardziej niż przedtem, a ścisk panujący w środku nie dawał mi się spokojnie rozciągnąć. Myślałem, że to miejsce mojego spoczynku. „Żegnaj, okrutny świecie!”

Nie wiem kiedy, ale zmorzył mnie sen. Obudziłem się dopiero gdy pudełko, w którym się znajdowałem zaczęło się trząść i obracać. Czulem się jak na szalonej kolejce górskiej i znów zrobiło się niedobrze. Nagle ten koszmar się skończył. Wieko zniknęło, a światło lamp oślepiło mnie. Przez chwilę nic nie widziałem, ani nie umiałem się zorientować, co się dzieje. W pewnym momencie czyjeś ręczki wyciągnęły mnie z tego więzienia. Tak się przeraziłem, że gdybym potrafił, niechybnie uciekłbym. Nie wiedziałem co się może za chwilę stać. Uśmiechnięte dziecko patrzyło na mnie troskliwym wzrokiem. Przytuliło mnie i zrobiło mi się tak jakoś ciepłej. „A teraz zaniosę cię do mojego pokoju, i urządzę ci łóżeczko, i będę się z tobą bawić, i...!”- szeptała dziewczynka z trudem łapiąc dech. Pobiegła w podskokach do swojego pokoju. Było tam ciepło, przyjemnie. Przestałem się tak strasznie bać. Zostałem położony na krzesło z różową tapicerką. Tymczasem, dziewczynka biegała od półki do półki i z każdej z nich zabierała jakieś drobiazgi. Przyglądałem się temu z największym zdziwieniem. Po chwili spoglądała z dumą na swój wynalazek. Było to pudełko od gry w „chińczyka” wyłożone haftowaną chusteczką i czarnymi i białymi koralikami. Dziewczynka położyła mnie tam, po czym opuściła pomieszczenie. Zamknąłem oczy i nawet nie zauważyłem, jak zasnąłem.

Każdy dzień mijał szybko na zabawach z moją właścicielką. Czasem chodziłem do szkoły i poznawałem inne dzieci. Oglądałem telewizję, brałem udział w przyjęciach ze wszystkimi zabawkami, spotykałem się z misiami, a nawet chodziłem do kina, na spacer i do zoo. Cieszyłem się niezmiernie, że mam własną panią.

Pewnego wieczoru, jak każdego, poszedłem spać, jednak następnego dnia poczułem chłód drewnianego parkietu. Leżałem na podłodze, która robiła się coraz zimniejsza z każdą minutą, a że zabawki nie potrafią się poruszać nie mogłem się podnieść i położyć na wygodnym dywanie.

Leżałem tak nie wiem jak długo, ale nie było to pięć minut..W pewnym momencie, do pokoju weszła wysoka kobieta, której twarzy, ze względu na egipskie ciemności panujące w pomieszczeniu, nie widziałem. Nieznajoma chwyciła mnie za nogę i ściskając ją bezlitośnie, wyniosła z domu, po czym wyrzuciła do kosza na odpadki. Znów poczułem się jak w bagażniku- też śmierdziało i też było ciemno. Spojrzałem na mieszkańców śmietnika, choć z

trudem ich zauważałem. Pomyślałem: „Dlaczego tu trafiłem? Czy byłem wadliwy? Czy zrobiłem coś nie tak? Wydaje mi się, że nie, ale może inaczej uważa świat?”

Nie wiem, co się ze mną stanie. Jestem tylko zabawką wyrzuconą, zapomnianą... Pozostaje mi tylko czekać aż skonam w maszynie śmierci lub ktoś odmieni mój los wyciągając mnie stąd.

*Anna Bownik*

### **Idąc ulicami...**

Światło raziło nieprzyjemnie moje oczy. Zmuszało do szybkiego mrugania oraz mrużenia powiek.

-Wstawaj – usłyszałam - Idziemy dalej - oznajmił stanowczy głos mojej kuzynki. Z cichym jękiem stanęłam na nogach. Rzuciłam jeszcze jedno tęskne spojrzenie na ławeczkę. Ruszyliśmy w stronę Złotej Bramy. Wcale nie miałam ochoty, by tam iść, ale wiedziałam, że beze mnie po prostu się zgubi.

- Hej, słuchałaś mnie przez ostatnie 5 minut?- w moje myśli wdarł się głos kuzynki. Skrzywiłam się mimowolnie. Zamrugałam kilka razy, dość nieprzytomnie. Kiwnęłam niepewnie głową. Zastanawiało mnie tylko jedno. Co ona mówiła?!

- Taaak? To co powiedziałam?- spytała. Westchnęłam. Postanowiłam przyznać się do „winy”.  
- Nie, nie. Ani jednego twojego słowa. – powiedziałam, jednak bez choćby cienia skruchy. Usłyszałam prychnięcie wydobywające się z jej ust. Spojrzałam na nią, ona spojrzała na mnie. Obie wybuchnęliśmy donośnym śmiechem. Ludzie patrzyli na nas jak na wariatki. W sumie mieli rację. I ja, i ona byliśmy wariatkami z szerokimi uśmiechami. Ale chyba obie czułyśmy się z tym dobrze, a wręcz świetnie.

- Opowiedz mi coś, ooo... na przykład... o Neptunie- poprosiła, patrząc na fontannę, z której sływał Gdańsk. Uśmiechnęłam się i już miałam zacząć, gdy nagle... uświadomiłam sobie, że żadnej opowieści o nim nigdy nie słyszałam.

- Ale... No... ja nie znam żadnej legendy o Neptunie...

- Co? Jesteś gdańszczanka! Jak możesz nie znać opowieści o fontannie, z której słynie miasto, w którym się urodziłaś i wychowałaś?!”- przerwano mi stanowczo. Poczułam jak moje policzki oblewają się gorącą purpurą.

- No... Tak jakoś, wiesz...

- Nie wiem.

- Nigdy nie zastanawiałam się nad legendami. To znaczy lubię mity, ale znam tylko te greckie... – przerwało mi westchnienie. Natychmiast przyjął obronną pozycję.- A ty co mi opowiesz o swoim mieście?

- Nic. Nie ma co opowiadać.

- Na pewno jest! – przekonywałam gorąco. Ale ona tylko pokręciła głową zaprzeczając jednocześnie moim słowom. Dała spokój opowieściom i legendom. A mnie ciągle nurtowały różne myśli otwierając w głowie coraz to nowsze drzwi. Gdy otworzyłam te o nazwie: Patriotka, zobaczyłam wielkie... nic . Po prostu pustka. (...) Nie znałam historii, większości zabytków ani nawet większości legend. Tych o Gdańsku także.

Ktoś szturchnął mnie w ramię. To moja kuzynka niecierpliwiła się, zauważyła, że wcale jej nie słucham.

- Co mówiłaś?

- Nic – mruknęła z przekąsem. Wzruszyła ramionami.

- Nie, to nie! - Byłam rozdrażniona. (...) Wiedziała, że to irracjonalne być zła na osobę, która nie miała zupełnie nic wspólnego z tym, co się we mnie działo. Szłyśmy w milczeniu. Słychać było krzyki dzieci, szczekanie psów i rozmowy oraz śmiech dorosłych. Wszystko to łączyło się w jedno, tworząc wielki hałas docierający do moich uszu. Wiatr rozwiewał nasze włosy. Było ciepło. Zdjęłam powoli kurtkę, która do tej pory spokojnie spoczywała na moich ramionach. Teraz szamotał ją ciepły wiatr. Moja towarzyszka próbowała wtrącić kilka słów, ale patrzyłam na nią sponad oprawek okularów i odwarkiwałam monosylabami.



Po jakimś czasie zauważyłam, że zaczyna się powoli ściemniać. Usiadłyśmy na ławce, jedząc lody. Pyszne, gdańskie świderki. Pochłaniałam je w zamyśleniu, gdy nagle poczułam, jak coś ciepłego spływa po mojej łydce. Zwróciłam wzrok w tamtą stronę i ... zobaczyłam malutkiego psa, załatwiającego swoje potrzeby na moją nogę! Zerwałam się z ławki z krzykiem. Wściekły wzrok toczyłam wokół siebie, próbując namierzyć właściciela owego psiaka. Był, a jakże! Siedział trzy ławki dalej i beztrudnie śmiał się w towarzystwie młodej kobiety. Nie myśląc wiele, pognałam w tamtą stronę.

Proszę pana, pański pies właśnie narobił mi na nogę- powiedziałam w miarę spokojnym jak na mnie tonem.- Czy mógłby pan łaskawie używać takiego wynalazku, jak smycz?- spytałam z wyraźnie przesłodzonym uśmiechem. Właściciel rzucił mi przelotne spojrzenie, wymruczał „Przepraszam” i zajął się swoimi sprawami. Wracając zauważyłam, że kuzynka dosłownie zwija się ze śmiechu. Posłałam jej groźne spojrzenie. Próbowałam się uspokoić, ale spełzło to na niczym. Przypomniałam sobie, iż mój sandał jest obłany moczem. Niewiele myśląc, z bezgranicznym obrzydzeniem zdjęłam go. Dalej szłam na bosaka. Byłam zbyt skupiona na tym, aby nie wdepnąć na szkło czy inne obrzydlistwo, że nie zauważyłam jak ludzie na mnie patrzą. Moja kuzynka próbowała rozładować napięcie. Nie udawało jej się to wcale, a wcale. Byłam zbyt zła, by uśmiechać się, zwłaszcza w takich okolicznościach. Gdy weszłyśmy do tramwaju, zaczęłyśmy szukać biletu. Ale kieszenie były puste. Dodatkowo zauważyłyśmy, że w środku komunikacji buszuje tzw. „kanar”. Wskoczyłyśmy stamtąd niczym sarny.(...) Wiedziałam, że moja towarzysząca coś do mnie mówi, ale ja nie reagowałam. Znow. Spojrzałam na kalendarz w moim telefonie. No tak – był piątek 13-ego.

Patrzyłam w gdańskie niebo. Zauważyłam jedną, może dwie gwiazdki. Nie znałam go, jednocześnie znając. To było dziwne. Patrzyłam w kosmos i myślałam „ Czemu ja cię nie znam ? Patrzyłam w ciebie tyle razy!” Pytałam samą siebie. Nie mogłam znieść tej myśli. Wściekłość buzowała we mnie. Wiedziałam, że w końcu wybuchnę. Nie wytrzymam. Puszczą mi nerwy.

W górze było znajome-nieznajome niebo ze znajomymi-nieznajomymi gwiazdami...

*Wioletta Kugiel*

### **Królestwo wyobraźni**

Zmęczona po ciężkim treningu szłam środkiem ścieżki. Był wieczór. W pobliżu nie paliły się żadne latarnie. Podniosłam rękę i spojrzałam na piękny pierścionek, znajdujący się na moim palcu od wielu lat. Co jakiś czas w ciemnościach dało się usłyszeć przebiegającego kota lub cichy trzask niewiadomego pochodzenia.

Moje oczy przyzwyczajone do panującego mroku rozglądały się dookoła. Całą przestrzeń po lewej stronie zajmowała wielka łąka. Po chwili nie było to już zwykłe miejsce na spacer, lecz wielki dziedziniec porośnięty trawą. Na środku biegała mała dziewczynka w kiteczkach, machając do mnie, uśmiechała się promiennie. Dołeczki na jej policzkach przykuły moją uwagę i odruchowo dotknęłam swoich. Spojrzałam na drzewa, jakby kłaniające się przede mną. Korony poruszane przez wiatr szumiały cichutko, oddając cześć przeskakującej z drzewa na drzewo dziewczynce z małymi zadrapaniami na szczupłych, delikatnych nogach. Odległości, które pokonywała, przeskakując z jednej gałęzi na drugą, były nieprawdopodobne. Patrzyłam na nią, bojąc się, że zaraz spadnie, lecz tak się nie stało. (...)

Mała dziewczynka nie przestawała się śmiać, a jej ręka, na której znajdował się śliczny pierścionek, powoli się podnosiła. Moje oczy podążały za niewidzialnym szlakiem wyznaczonym przez palec. (...) Nagle moje rozmyślenia przerwał ptak skrzeczący mi do ucha, prosząc, abym odwróciła się w drugą stronę. Małe dziewczę ostatni raz do mnie pomachało i rozpląnęło się w powietrzu. W moim sercu na chwilę zagościł smutek i tęsknota. Spojrzałam w prawo, gdzie zwykle znajdowały się suche pęczki trawy. Na jednym z nich siedziała dojrzała, piękna kobieta o długich blond włosach. Popatrzyła na mnie i uśmiechnęła się ze słodyczą. Moją uwagę przykuł pierścionek na jej szczupłej dłoni, taki sam dostałam od ukochanej babci. Kobieta wstała i powoli podeszła do mnie. Wpatrywałam się w nią, nie potrafiąc odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego jestem taka szczęśliwa. Jej ciepła dłoń dotknęła mojej, a po chwili biegłyśmy po polu, skacząc przez pęczki trawy.

Za każdym razem, gdy natrafiłyśmy na górkę, turlałyśmy się, a kwiaty same układały się na naszych głowach, tworząc wianek. Księżyc uśmiechał się wspaniale, a ptaki wyśpiewywały moją ulubioną melodię. W oddali dało się ujrzeć postać biegnącą w naszym kierunku. Chwilę później znalazła się tak blisko, że łatwo mogłam ją rozpoznać. To była mała dziewczynka z doleczkami. Nie minęła sekunda, a wszystkie wirowałyśmy w powietrzu, trzymając się za ręce. Ptaki tworząc obręcz wokół nas śpiewały i cieszyły się chwilą spędzoną wspólnie. Teraz moim marzeniem było, żeby już nigdy nie spaść.

Minęłam jedno drzewo i drugie. Ponownie spojrzałam na mój pierścionek, uśmiechnęłam się i przyspieszyłam kroku. Wiedziałam, że zaraz znajdę się w ciepłym domu, wraz z babcią i kochającą mnie rodziną.

*Martyna Miłogrodzka*

### **Mój tajemniczy Święty Mikołaj**

W wieczór wigilijny wraz z rodzicami i bratem nakrywałam do stołu. Już mieliśmy się dzielić opłatkiem i zaczynać kolację, gdy usłyszeliśmy dzwonek do drzwi. Tego dnia mieli nas odwiedzić dziadkowie, więc byłam pewna, że to oni.

Mama otworzyła drzwi, uśmiechnęła się i zawołała do nas:

- To Święty Mikołaj.

Pomyślałam sobie, że to dobrze, iż mamy dodatkowe nakrycie na stole. Przeniosłam swój wzrok na postać stojącą w drzwiach, by sprawdzić, czy to rzeczywiście jakaś nieznajoma postać, która razem z nami zje kolację wigilijną. Przypatrywałam się jej dość długo i wydawało mi się, że trochę przypomina ona mojego dziadka. Podobna budowa ciała, kolor oczu i głos trochę zmieniony, ale to na pewno mój dziadek, bo zawsze przychodzi do nas w Święta Bożego Narodzenia jako Mikołaj. Potem wychodzi i pojawia się z babcią, żeby nikt się nie domyślił, że to był on. Maćkowi (mojemu bratu) nic nie mówiłam, że to dziadek, bo on wierzy w Mikołaja. Mama zaprosiła nieznajomego do domu, a gdy tylko wszedł do pokoju, mój braciszek schował się pod stół. Bardzo boi się Mikołaja, choć to dobry człowiek. Mama namawiała Maciusia, żeby wyszedł, lecz on stanowczo odmawiał. Nagle Mikołaj schylił się do Maćka i coś szepnął mu do ucha, a on wyszedł uradowany i usiadł do stołu. Pomyśleliśmy sobie, że Mikołaj powiedział Maćkowi, że jest jego dziadkiem w przebraniu. Podzieliliśmy się opłatkiem i złożyliśmy sobie wzajemnie życzenia. Zasiadliśmy wszyscy do stołu i zjadaliśmy się kolacją wigilijną. Podczas rozmów przy wigilijnym stole byłam wręcz pewna, że to dziadek. Gdy rozmawialiśmy o jakimś zdarzeniu z mojej lub domowników przeszłości, On wszystko wiedział. W pewnym momencie Mikołaj zapatrzył się w okno i krzyknął:

- Gwiazdka spada!

W tej chwili wszyscy podeszli do okna, aby ją zobaczyć. W tym czasie Mikołaj usiadł przy choince z workiem, który trzymał w ręce. Gdy się odwróciliśmy, byliśmy zdziwieni, jak szybko Mikołaj ułożył prezenty pod choinką. Nie były one podpisane, a mimo to każdy otrzymał właściwy podarunek. Mój brat bardzo się ucieszył, gdy dostał kolejkę, bo właśnie o tym marzył. W sumie to każdy bardzo się cieszył z otrzymanego prezentu. Mama już wcześniej przygotowała prezenty dla dziadka i babci. Myśląc tak samo jak ja, że postać wręczająca nam podarki to nasz dziadek, podarowała Mikołajowi prezent przeznaczony dla dziadka. Mikołaj uśmiechnął się i powiedział:

- Nie mogę go przyjąć, największym prezentem jest to, że mnie ugościliście i że jesteście szczęśliwą rodziną.

- Ależ Mikołaju, proszę przyjąć od nas ten prezent – upierała się mama.

Wtedy Mikołaj wziął prezent i oświadczył, że musi już iść, bo czekają na niego inne dzieci. Wszyscy odprowadziliśmy go do drzwi. Gdy Mikołaj opuszczał nasz dom, zaczął wiać mocny i porywisty wiatr rzucający szorstkim śniegiem. Staruszek szybko zniknął nam z oczu w tej zamieci. To było dziwne, ale nagle wiatr i śnieg ustał. Spojrzeliśmy w przeciwnym kierunku, bo tam mieszkają nasi dziadkowie. Ujrzeliśmy ich podążających do nas z wizytą. Nikt z nas nie mógł w to uwierzyć, kim był ów Mikołaj, kiedy dziadek zaczął się z nami witać. Gdy babcia z dziadkiem rozgościli się w naszym domu, obdarowali mnie i brata prezentami, mówiąc, że to od Świętego Mikołaja. Tata podarował babci prezent wcześniej przygotowany przez mamę. Dziadek miał otrzymać woreczek słodczy, który mama dopiero co przygotowała, gdy Maciek krzyknął:

- Tu jest jeszcze jeden prezent i pokazał palcem pod choinkę. Wyciągnęłam tę paczuszkę i dałam dziadkowi, ponieważ wyglądała dokładnie tak samo jak ta, którą mama wcześniej przygotowała dla dziadka, ale dała ją Mikołajowi, myśląc, że to dziadek. Gdy dziadzius otworzył podarunek, była w nim dokładnie ta sama zawartość, którą mama obdarowała wcześniej Mikołaja. Na prezencie był liścik, który schowałam do kieszeni. Gdy dziadek z babcią wyszli, przeczytałam go rodzicom:  
„Dziękuję za prezent, lecz nie był on dla mnie, więc musi trafić we właściwe ręce. Bardzo dziękuję za smaczną kolację i mile spędzony z wami czas. Święty Mikołaj”

Wraz z rodzicami nie mogłam uwierzyć w magię tego wieczoru. Zastanawiające było to, skąd o nas tyle wiedział. Dziwne też było dla nas zachowanie mojego brata Maćka, który nie tylko się go nie bał, ale siedział mu na kolanach i rozmawiał o przygodach, które mu się kiedyś przydarzyły. Przez całą noc zastanawiałam się, kim mógł być ten tajemniczy człowiek. Czyżby to był prawdziwy Święty Mikołaj? Już dawno przestałam w niego wierzyć, ale po tej historii wierzę w niego jeszcze mocniej niż wtedy, kiedy byłam dzieckiem.

*Karolina Grulkowska*

**Gdańsk 2012**

Drukarnia B3 PROJECT



Członkowie Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej przybyli na uroczystość 20-lecia nadania szkole imienia Armii Krajowej